



NIE POPRAWNI

PRAWDA PRZECIW ŚWIATU

„INKA” cz.-1 OTO CZŁOWIEK

Danka Siedzikówna „Inka” weszła do pawilonu egzekucyjnego gdańskiego więzienia. Był piękny letni poranek, środa, 28 sierpnia 1946 roku. Za sześć dni miała skończyć 18 lat.

Ileż pragnień, nadziei i oczekiwań związanych było z tymi urodzinami! (...)

O czym myśli człowiek przed śmiercią?

O czym myśli bardzo młody człowiek przed śmiercią?

O czym myśli młoda dziewczyna przed śmiercią? Trudno się uwolnić od takich wyobrażeń. Kiedy ma się niespełna 18 lat, chyba nie myśli się o wieczności. Raczej o tym, co miało być, a czego już nie będzie? Może powtarzała mimowolnie – bardziej ze zdumieniem niż z przeraże-

niem – Już nigdy nie pojedę z mamą i z tatą do Warszawy... Już nigdy nie pojedę z mamą i z tatą do Warszawy... I dalej w kółko to samo. A potem może pomyślała, że i tak by nie pojechała, bo matka leży gdzieś w lesie pod Białymstokiem, zabita przez Niemców jeszcze w 1943 roku, a ojciec tysiące kilometrów od domu – na polskim cmentarzu w Teheranie. (...) Niektórzy więźniowie oddziału dla politycznych starego polniemieckiego więzienia przy Schiesstange, teraz ulicy Kurkowej w Gdańsku, wiedzieli o egzekucji siedemnastolatki. Według jednej z relacji niektórzy odmawiali Anioł Pański.

Była godzina 6.15, sala egzekucyjna pełna ludzi. Prokurator wojskowy Wiktor Suchocki, lekarz, zgraja funkcjonariuszy UB i przejęty tą sytuacją do głębi, nienaturalnie skurczony w du-

chowym cierpieniu wikariusz kościoła garnizowego w Gdańsku ks. Marian Prusak, który dwie godziny wcześniej spowiadał skazańców – Dankę i jej współtowarzysza Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”, jednego z najlepszych żołnierzy majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” podczas antysowieckiej kampanii jego szwadronu w roku 1946.

Znowu wpadła w refleks niespełnionego pragnienia. Już nigdy nie pojedę z mamą i z tatą do Warszawy... Nagle oprzytomiała. A może przebudziły ją wzruszenie i słowa pożegnania „Zagończyka”? Miał 41 lat, zostawiał żonę i małe dzieci. Patrząc na „Inkę” i na jej młodość, cierpiał podwójnie, bo widział w niej swoje dzieci i nadchodzące ciężkie życie swojej żony. Ci „polityczni” tacy już byli. W obliczu śmierci przepraszała najbliższych za swoje życiowe wybory. Nie myśleli o bólu, który nadchodzi, nie bali się przepaści, która się przed nimi otwierała. Pułkownik Antoni Olechnowicz „Pohorecki”, bezpośredni przełożony majora „Łupaszki”, napisał w poże-galnym liście: Wszystkich Was przepraszam,

cd. na str. 2

Rybiński, miałeś rację

Ludwig Erhard postawił na budownictwo mieszkaniowe jako koło zamachowe dla gospodarki i z tego między innymi nakręcił się powojenny niemiecki cud gospodarczy. Podobnie jest na świecie, że przemysł budowlany tworzy ogólną koniunkturę. Cóż z tego, powie ktoś, skoro państwo rządzone przez kodicję PO-PSL już tak ma, że jakiegokolwiek byśmy wybrali koło zamachowe, to ono zawsze napędza korupcję?

Prawda, jako żywo, budowlanka u nas bankrutuje w czasie największej budowlanej prosperity i to jest także rodzaj cudu au rebours na skalę światową. No, ale przecież próbować trzeba. Nic bowiem nie jest wieczne na tym padole, nawet rządy Donalda Tuska przemijają jak sen jakiś koszmar-ny, a wtedy już na pewno nie będzie gorzej, tylko lepiej. Nie ma innej możliwości, chyba że głupi meteoryt się pomylił i zamiast spaść tam, gdzie zawsze, spadnie na nas.

Jednak dopóki meteoryty nas szczęśliwie omijają, jest nadzieja wypłata-nia się z gospodarczego i demograficznego dołu po Tusku. Oczywiście, inni szatani są czynni i to już stało się normą, że każdy projekt opozycji wi-tany jest przez media będące na usługach władzy wyłącznie

cd. na str. 2



cd. „INKA” cz.-1, OTO CZŁOWIEK



że ściągnąłem nieszczęście na Was, Kochani. Wspomnijcie mnie czasem. Całuję Was mocno i ściskam. Wasz ojciec, mąż i przyjaciel – Antek.

Więc jeszcze to jedno pragnienie, by nie zapomnieli. Wspomnijcie... Tego listu ubecka cenzura nie pozwoliła już wysłać. Sowieckie państwo „ludowe” zabijało wrogów bez śladu, kierując się słusznym skądinąd przekonaniem, że martwi są jeszcze groźniejsi od żywych. Ten list odnalazł po pół wieku historyk w archiwum IPN. Był w zalakowanej kopercie, w „aktach sprawy”...

Prokurator kończył czytanie uzasadnienia wyroku. Teraz padła ta straszna komenda: „Po zdracach narodu polskiego, ognia!”. Zabolało. Te słowa... Zanim jednak padły strzały, obydwoje krzyknęły jak na komendę: „Niech żyje Polska!!!”.

Tak bardzo zabolały słowa: „zdracy”. Czy się wcześniej umówili?

Strzały z dziesięciu sowieckich pepesz zraniły tylko „Zagończyka”, dziewczyny nie tknęły. Wi-

dać było, że ci żołnierze, choć z KBW, coś w końcu zrozumieli...

Oszołomieni hukiem wystrzałów osunęli się na ziemię, lecz żyli. „Inka” podniosła się i świadoma nieuchronności tego, co się za chwilę stanie, krzyknęła raz jeszcze: „Niech żyje major «Łupaszko!»”.

W lipcu 2001 roku Alojzy Nowicki – świadek egzekucji, zastępca naczelnika więzienia w Gdańsku z roku 1946 – opowiedział o tym wszystkim pracownikom IPN w Gdańsku. Nie miał powodów, by kłamać, by tworzyć legendę „Inki”. Mówił dobrowolnie, z własnej inicjatywy. Był człowiekiem powojennego „awansu społecznego”, który dał mu system sowiecki w Polsce. Powiedział jeszcze, że dowódca plutonu egzekucyjnego z gdańskiego KBW podporucznik Franciszek Sawicki, wściekły z powodu nieudanej egzekucji i przestraszony możliwymi dla siebie konsekwencjami, podszedł i z bliskiej odległości, strzałami z pistoletu w głowę zabił „Inkę” i „Zagończyka”. Potwierdził to przed

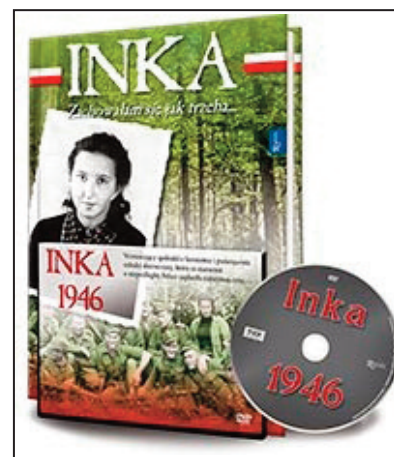
śmiercią w relacji dla IPN ks. Marian Prusak. Znana jest też szczególna w swym okrucieństwie relacja pośrednia jednego z funkcjonariuszy UB obecnych przy egzekucji: „Nie chciała skacina zdechnąć, trzeba ją było dobić...”.

Te straszne słowa zapamiętała dobrze Helena Mikołajewska-Witkiewiczowa. To u niej i u jej siostry Jadwigi Mikołajewskiej-Jaroszowej „Inka” spędziła ostatnią noc przed aresztowaniem.

W pożegnalnym grypście, przekazanym z gdańskiego więzienia już po wyroku śmierci, Danką napisała: Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba...

fragment książki "Inka. Zachowałam się jak trzeba", wydanej przez Dom Wydawniczy Rafael. Dziękujemy wydawnictwu za udostępnienie materiałów.

Redakcja, 5 marca, 2013



cd. Rybiński, miałeś rację

rechotem. Od czasu, gdy tak zwane biznesmedia w 2007 roku stały się tubą rządu, a funkcję kontrolną w całości poświęciły na opozycję.

Podobnie stało się z propozycją Krzysztofa Rybińskiego, który zaproponował stypendium demograficzne – dla każdego dziecka po 1000 złotych do 18 roku życia. Odpowiedzią głównego (czytaj protuszkowego) nurtu medialnego były śmichy chichy, a nasz szczerzy przywódca stwierdził, że nawet piętnastolatek przejrzy absurdalność takiej propozycji. Nie chcę tu popadać w niekończącą się dygresję, ale są przykłady niezliczonych obietnic rządu Tuska, które skłaniają do refleksji, że on nigdy nie wyrósł z krótkich majteczek.

Projekt Rybińskiego na pierwszy rzut oka wydaje się nierealny, ale tylko na pierwszy rzut oka. Stajemy bowiem nad demograficzną przepaścią i już tylko zdecydowane albo i drastyczne posunięcia mogą nas uchronić przed postawieniem kroku naprzód. Jakiś rachmistrz z Czerskiej na kolanie policzył, że to może nas kosztować 90 mld złotych rocznie i towarzy-

stwo zawyło z uciechy nad nieodpowiedzialnością opozycji. Tymczasem tylko roczna obsługa długu publicznego w Polsce kosztuje nas 44 mld złotych, a składka do Unii wzrosła do 10 mld złotych rocznie. Cokolwiek by powiedzieć, są to zbliżone wielkości.

Rybiński proponuje przesunięcia środków budżetowych, likwidację bezsensownych zwolnień podatkowych i bez trudu można sobie wyobrazić wygosparowanie podobnych pieniędzy. Oczywiście, będą grupy interesu, tak zwane głębokie kieszenie, czy banksterzy (np. OFE bezczelnie zżerające składki obywateli), którzy zaprotestują w imię „nowoczesnej europejskiej wolności”, jak to cudnie ujął redaktor Maziarski z „Gazety Wyborczej”. A przecież poza wszystkim to jest propozycja do dyskusji i można w niej zmienić wiele, choćby wiek dzieci beneficjentów, a także magiczną cyfrę 1000. Przeczytałem właśnie, że w Szwecji takie stypendium wynosi 400 euro do 16. roku życia.

cd. Rybiński, miałeś rację



Jednak, jak wspominałem, utarło się w naszym demokratycznym państwie Tuska, że każdy projekt opozycji ma w prorządowych mediach status natychmiastowej wykonalności. Tylko nad Tuskowymi bredniami w rodzaju wejścia do strefy euro w 2011 roku można było dyskutować długo i na poważnie. Albo o programie ministra Boniego „Polska 2030”, który po czterech latach cmokania nad nim właśnie został wyrzucony do kosza. Swoją drogą, ciekawe, czy Boni zwróci pieniądze, które mu zapłacono za tę bzdurę.

Stypendium to może być wielki projekt cywilizacyjny i modernizacyjny, bo przecież ten 1000 złotych na dziecko zostanie na coś wydany. A suma, niech będzie, że 90 mld złotych, trafi do gospodarki w taki czy inny sposób. Tylko głupiec może tego nie wiedzieć i nie brać pod uwagę. Rodzina z dziećmi, która ma rozległe, uniwersalne potrzeby materialne i dysponująca takimi środkami może być kołem zamachowym gospodarki na wzór propozycji Erharda w powojennych Niemczech.

Tym bardziej że środki unijne można od biedy przyrównać do środków z planu Marshalla, które dźwigały również zrujnowane przez faszyzm Niemcy, podobnie jak dzisiaj Polska zapóźniona w rozwoju przez komunizm. Rybiński ma rację, co słusznie podnosi pani profesor Staniszkis: – Mamy zapas demograficzny, mamy program. Rybiński pokazuje powiązanie między polityką tworzenia miejsc pracy z zatrzymaniem emigracji ludzi młodych i właśnie powstrzymaniem tej katastrofy demograficznej.

I to jest droga dla Polski, wcale nie tak kosztowna, jak się wydaje. Rodzina z dziećmi tworzy łańcuch niekończących się potrzeb, na które odpowiadają ludzie przedsiębiorczy. Jeśli dodamy do tego niskie podatki i wolność gospodarczą, to tworzymy koniunkturę. A wszystko razem to jest właśnie ład gospodarczy, jak by to określił Ludwig Erhard.

seaman, 18 lutego, 2013

W sieci mafijnego totalitaryzmu

Jak łatwo jest sterować sędziami, a więc i wyrokami – wykazała sprawa prezesa Sądu Okręgowego w Gdańsku Ryszarda Milewskiego. Wprawdzie dobry znajomy Tuska, z którym premier przybijał „piątkę” w trakcie meczu piłkarskiego Lechia-Arka już prezesem nie jest, ale nadal jest sędzią. Sędzią, na którym władza może zawsze polegać, tak jak wtedy, gdy osoba podająca się za asystenta szefa kancelarii premiera ustalała szczegóły związane m.in. z posiedzeniem sądu dot. zarządzenia na areszt szefa Amber Gold.

Czy takich sędziów w III RP jest więcej? Sprawa tygodnika „W Sieci”, którego zakaz wydawania wydał w trybie ekspresowym Sąd Okręgowy w Warszawie, dowodzi, że jest to jak najbardziej prawdopodobne. Tym bardziej, że sprawa tygodnika dotyczy podstaw ustrojowych, zapisanych w art. 14 Konstytucji: Rzeczpospolita Polska zapewnia wolność prasy i innych środków społecznego przekazu oraz w art. 10 ust. 1. Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej.

Skoro Rzeczpospolita nie usuwa sędziów, którzy łamią Konstytucję, to z tej Konstytucji pozostał nam już tylko parawan, ukrywający

gwałtownie odradzający się totalitaryzm. To pod przykrywką budowy „postępu” i demokracji Tusk przy pomocy maszyny sejmowej buduje totalitaryzm – system, w którym łatwo się pozbyć niezależnej prasy i środków społecznego przekazu, czego przykładem są boje telewizji Trwam o dostęp do multiplexu. Przykładem rozszerzającej się patologii systemu były nocne uzgodnienia na parkingu rzeczownika rządu Grasia z właścicielem „Rzeczpospolitej” w sprawie artykułu o obecności trotylu we wraku TU-154M. Spacyfikowanie „Rzeczpospolitej” w następstwie tego nocnego spotkania stało się więc symbolicznym aktem pacyfikacji niezależnej prasy i niezależnych dziennikarzy w Rzeczypospolitej, za parawanem

cd. W sieci mafijnego totalitaryzmu

demokracji i Konstytucji. Parawanem, ukrywającym coraz bardziej widoczną zależność prasy i innych środków społecznego przekazu od władzy wykonawczej.

Ale przecież i rzecznika Grasia nikt w tym kraju nie ruszył - zwłaszcza zaś jego chlebodawca. Bo tacy ludzie, jak sędzia Milewski czy rzecznik Graś, są gwarantami odrodzenia się totalitaryzmu: z jednym wodzem, z jedną partią, z jedną prasą i telewizją, z jedną myślą i gigantyczną - nietykalną mafią. Bo nasz polski totalitaryzm nie jest żadną kontynuacją totalitaryzmu Hitlera czy Stalina, jak niektórzy piszą. Nasz postępowy system tylko czerpie wzory z tamtych totalitaryzmów, budując „postęp” przy pomocy nachalnej propagandy, pod której powierzchnią grasują nietykalni złodzieje, mafiosi, przepukni prokuratorzy i sędziowie oraz naczelnicy urzędów skarbowych, naliczający domiary obywatelom i drobnym przedsiębiorcom...

Odsłanianie m.in. przez tygodnik „W Sieci” kulis tego „postępowego” państwa, w którym dzieci nie jedzą jeszcze szczawiu z przydrożnych rowów - musiał być zatem dzwonkiem ostrzegawczym dla wszystkich, którzy ten system budują i wspierają. Dlatego na próżno dziś oczekiwać głosów zatroskania ze strony reżimowych mediów i reżimowych redaktorów, którzy aktualnie zatroskani są zacofaniem polskiego społeczeństwa, które nie akceptuje przywilejów dla pederastów, lesbijek i transwestytów. Na próżno oczekiwać głosów oburzenia dawnych bojowników o wolność i demokrację, którzy w partii Tuska stali się funkcjonariuszami systemu, z którego czerpią horrendalne profity, sami przydzielając sobie hojne premie „za aktywność”. Na próżno oczekiwać, by jakikolwiek funkcjonariusz coraz bardziej totalitarnego systemu zainteresował się przyczynami ochrony aferzysty Marcina P., którego spółka Amber Gold nie musiała składać w Pomorskim Urzędzie Skarbowym dekla-

racji VAT, zeznań CIT i sprawozdań finansowych za lata 2009-2011! Nikt przecież o zdrowych zmysłach świni przy korycie - nie chce narazić się twórcy tego systemu, którego początki zainicjowali aferalowie z Gdańska...

Dziś okazuje się, że Marcin P. jest tylko jednym z elementów mafijnego totalitaryzmu, budowanego za parawanem Konstytucji, postępu i Europy. Okazuje się bowiem, że nawet połowa „diesla” importowanego do Polski sprowadzana jest nielegalnie, z pominięciem akcyzy i podatku VAT! Mafia nie kryjąc się, w biały dzień sprowadza tankowce z paliwem zamówionym np. przez firmy będące w upadłości. Gdy dodamy, że niektóre przetargi paliwowe organizowane przez samorządy wygrywają przedsiębiorstwa handlujące zabawkami czy psią karmą - obrazuje to skalę korupcji mafijnego totalitaryzmu.

Ale przecież już na początku rządów aferalów, gdy to „pierwszy milion dolarów należało ukraść” - ochroniono mafię paliwową w marynarce wojennej, umarzając gigantyczną aferę z powodu... przedawnienia:

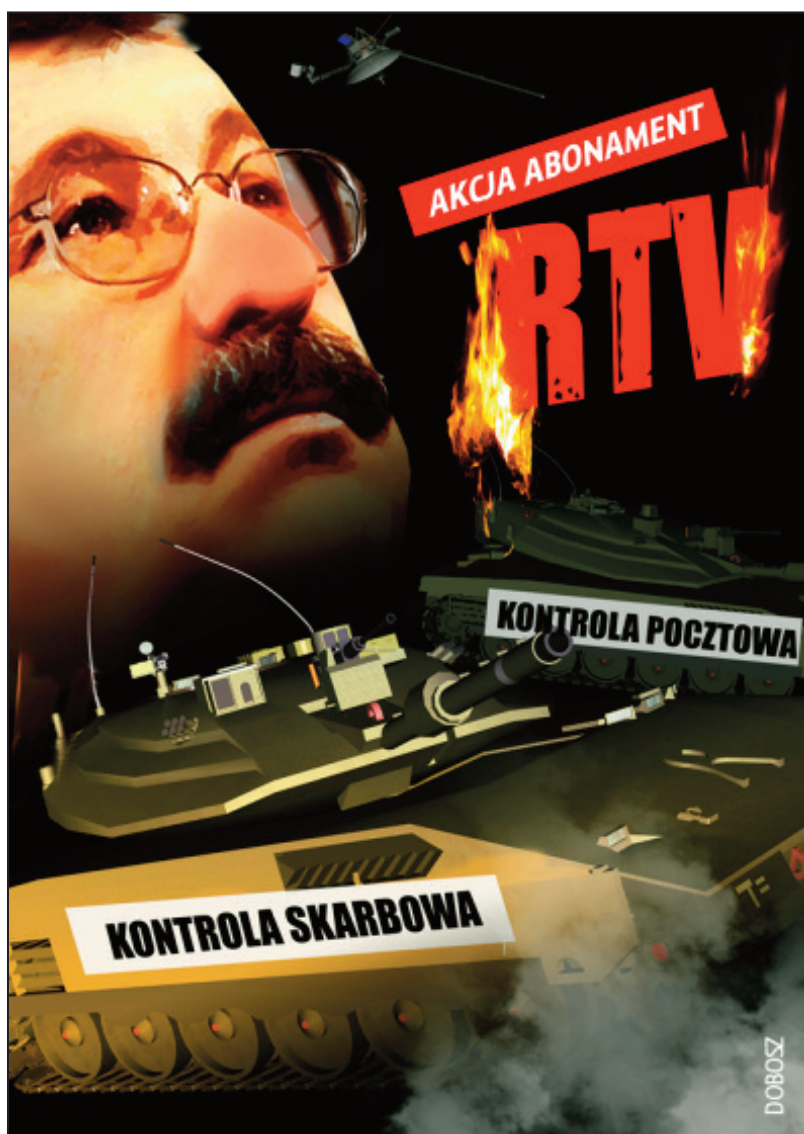
http://pl.wikipedia.org/wiki/Afera_paliwowa_1991

Powracając zatem do tygodnika „W Sieci” - jego wydawca nie może nawet marzyć o umorzeniu pozwu w sprawie nazwy tygodnika. Za pozwem stoi bowiem cały mafijny system, który dba o to, by zagrażające jego istnieniu wolne słowo i prawda nie dotarły do społeczeństwa. Dlatego „złodziei” tytułu należy przykładnie ukarać, zakazując przestępcom pisać niepochlebne artykuły o państwie dobrobytu. Państwie, z którego powinniśmy czuć uzasadnioną dumę i satysfakcję, że coraz mniej liczne dzieci nie wyjadają szczawiu z przydrożnych rowów, zaś ciepła woda w kranie jest takim samym standardem, jak kuchnia węglowa w mieszkaniu Kostka Myszkiewicza.

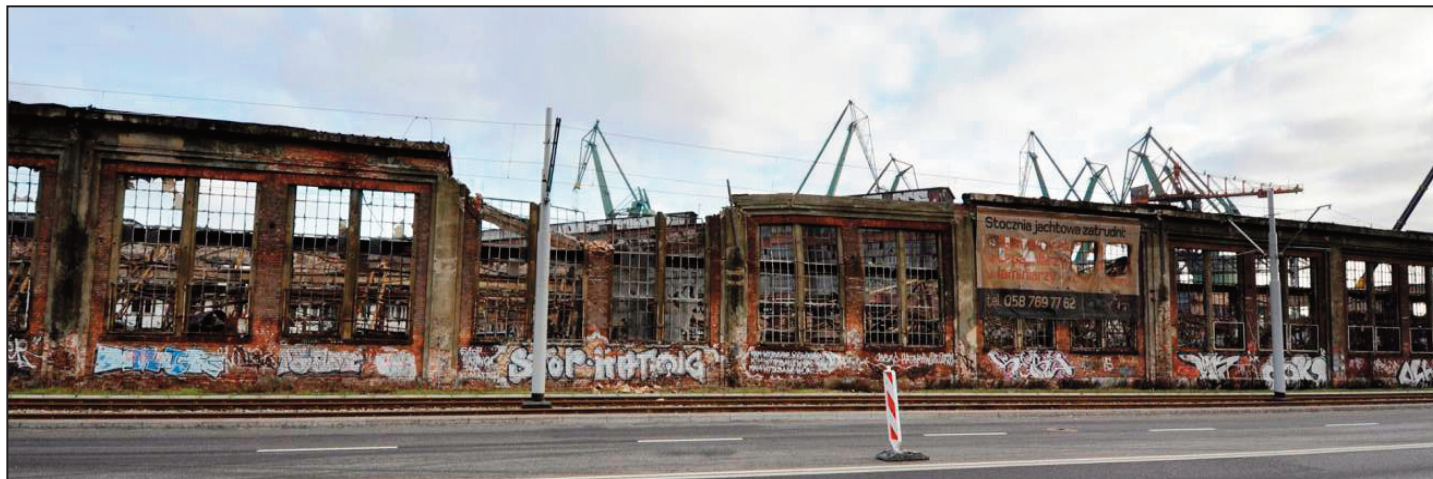
Tego samego Myszkiewicza, który gdy podróż, chciał wysadzić pomnik Lenina, ale potem się rozmyślił...

P.S. Proponuję wydawcy pozostawienie dotychczasowej nazwy pisma, lecz z uwzględnieniem wprowadzonej przez Sąd Okręgowy w Warszawie cenzury na literę „W”. I to do czasu, gdy ten reżim upadnie. Tytuł byłby więc taki, jaki mógłby być być za PRL-u, tj.: „[- - -] SIECI”

Kapitan Nemo, 7 marca, 2013



Smutno o stoczniach



1 marca o godz. 14.37 elektryczne stopery w gdańskiej stoczni puściły stojący na pochylni B-1 prom a w zasadzie kadłub promu, dla norweskiego armatora.

Piękny prom. I, wbrew pozorom, jest to smutna wiadomość, ze względu na to, że, jak rozumiem, a obym się mylił, to ostatni statek zwodowany w stoczni. Sic transit gloria mundi, chciałoby się powiedzieć. Polska była kiedyś światowym potentatem w produkcji statków. Oczywiście, prawdą jest, że sprzedawaliśmy statki do Związku Sowieckiego za ruble transferowe, choć za wyposażenie statku płaciliśmy dolarami. Interes był taki sobie, choć w skali kraju można pewnie liczyć jakoś inaczej. Niektórzy jeszcze pamiętają. I pamiętają też, że stocznie były fortecami ruchu oporu przeciw komunizmowi. I może dlatego właśnie z taką zaciekleścią zostały zniszczone? To znaczy początek zniszczenia niewątpliwie został wywołany przez władzę ze względów politycznych (Rakowski), potem już poszło samo: zadłużenie, chaos, mafijne porachunki...

Tu muszę wspomnieć o zapomnianej śmierci kapitana Hutry, zaangażowanego w ratowanie stoczni. Powinien on być wymieniany na wczesnej liście Seryjnego Samobójcy, jednak jakoś cicho nad tą śmiercią. No, kiedyś trzeba będzie wrócić i trochę napisać na ten temat.

Jak łatwo niszczyć coś, co trwało od dziesięcioleci... Jeszcze od czasów Stoczni Lenina, czy Danziger Werft z brytyjsko-francusko-polsko-gdańskim kapitałem (wymuszonym przez Ligę Narodów) czy Schichau Werft i Kaiserliche (Koenigsliche) Werft. Teraz cała wartość tych stoczni to tereny. Właściciele to właściwie już tylko spekulanci gruntami.

To, co się teraz dzieje – burzenie budynków na terenie stoczni – to konsekwencja planu sprzed dziesięciu lat i coraz częściej ludzie zaczynają to dostrzegać. Teren stoczni jest niemal tej samej wielkości, co Główne Miasto, zaś Droga do Wolności – Długiej i Długiego Targu (...) – mówił Jacek Dominiczak, architekt i profesor Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Jego autorska wizja Młodego Miasta zakłada utworzenie na terenach postoczniowych miejskich kwartałów zabudowy z jedno kierunkowymi ulicami.

Trudno przypuszczać, by z całościowych projektów coś wyszło, skoro teren jest poprzecinany i porozdzielany między wielu właścicieli. Będziemy więc oglądać jedynie rozprzedawanie kawałków pod różne centra handlowe, jak sądzę. – To piękny plan, ale czysto akademicki, bo Młode Miasto należy obecnie do sześciu-siedmiu właścicieli terenów postoczniowych, a te ulice swobodnie tną ich tereny. Jedna z nitek ul. Nowej Wałowej dodatkowo biegnie przez planowane centrum handlowe – mówił przedstawiciel jednego z właścicieli

gruntów na Młodym Mieście, jednocześnie dodając, że jest otwarty na dyskusje, ale nie aż tak rewolucyjne.

I tyle, jeśli chodzi o stocznie. Inwestor katarski dostał kataru i zniknął tam, skąd nigdy nie wychodził, czyli z niebytu. Nie wiem, jak w Gdańsku, ale w Gdyni największym pracodawcą w mieście jest... Urząd Miejski. Reszta to handel, warsztaty, usługi, drobiazgi, chciałoby się powiedzieć, zgodnie z planem, w którym Polska i kraje Mitteleuropu miały uzupełniać przemysł niemiecki. W sumie, po co cokolwiek produkować, skoro wszystko zostało już wyprodukowane w metropolii? Bezkarnie tego się robić nie da. Cena jest degradacja i ubezwłasnowolnienie. Pamiętam lata osiemdziesiąte i pamiętam eksplozję drobnej wytwórczości i handlu. Jakby ktoś zdjął pokrywkę z garnka z gotującą się wodą. Nic z tego dziś nie pozostało. Ten Urząd Miejski, jako największy pracodawca. Co robią ci wszyscy ludzie na ulicach? Czym się zajmują? Wychodzi na to, że to urzędy i handel. Jak się czyta różne źródła, wychodzi na to, że nie ma pracy dla starych, dla zwalnianych, dla młodych. Beznadzieja. Jak żyć?

Zresztą, nie można powiedzieć, że w stoczniach nic się nie dzieje; owszem, coś tam się produkuje, jak nie statki, to wiatraki, jakieś inne rzeczy. Problem polega na tym, że stracono wyszkoloną, doświadczoną kadrę, ludzi, którzy potrafili robić coś więcej, niż proste prace, które można wykonać

na pochylni na plaży w Indiach, czy Chinach. Pisano swego czasu o supernowoczesnych maszynach, które zakupiono niedawno, a teraz się je powoli tnie palnikami na złom i wywozi. Czas w przemyśle stoczniowym cofnięto o dziesięciolecia, tak, jakby w latach pięćdziesiątych przyjechali pionierzy i zaczęli coś dłużyć z młotkami i palnikami na narbrzeżach.

Żeby było śmieszniej, w tym samym czasie stocznie w Niemczech, w Stralsundzie, zasilane i wspierane przez rząd niemiecki, radzą sobie znakomicie, zatrudniając, nawiasem mówiąc, polskich pracowników, przy obopólnym zadowoleniu. W Polsce polskie władze powiedziały stoczniowcom, że jakieś fundusze to się może i znajdują, ale żadnych statków się produkować nie będzie. I już.

I, żeby było jeszcze śmieszniej, nie jest prawdą, że nie ma popytu na statki. Ot, Polska Żegluga Morska buduje dla siebie 38 statków, za miliard dolarów, tyle że w Japonii. Program odnowy floty z powodzeniem mógł być zrealizowany w polskich stoczniach. Masowce to proste statki, polskie stocznie bez trudu mogły je wybudować. Podjęto jednak decyzję, że wybuduje się je w Chinach, bo taniej, a potem jakoś wyszło, że w Japonii. Czy koszt pracy w Japonii jest niższy niż w Polsce? To coś nowego!

Zespół warchołów rezygnuje ze Śląska

Czy Polska nie tylko straciła niepodległość, ale nastąpi rozbite dzielnicowe II?



Europa regionów jest pomysłem na robienie państw narodowych. „Zespół warchołów”, jak prof. Franciszek Marek z Uniwersytetu Opolskiego określił polityków walczących na rzecz rozbitcia dzielnicowego, napisał w swej ekspertyzie, że gdyby rząd przyjął projekt ustawy o mniejszościach narodowych,

to (cyt. za onet.pl)

władze wojewódzkie i rządowe musiałyby nieustannie wspierać wszelkie, nawet separatystyczne i antypolskie żądania i działania różnych graczy politycznych zmierzające do rozwalenia państwa i narodu. Profesor stawia kropkę nad „i”: mówi, że proponowane zmiany w ustawie sprawiają

wrażenie

diabelnie chytrze sformułowanych i świadczą o tym, że ich autorami są bystrzy, ale cyniczni fachowcy. Posłów, którzy podpisali się pod projektem, Marek nazwał zespołem warchołów, dodając, że w praworządym państwie z autorami proponowanych zmian rozmawiałby w imieniu rządu tylko prokurator.

I tak prof. Marek

wywołał burzę. Wielki szeszerski nacjonalista, Kazimierz Kutz (dawniej Kuc, ale to brzmiało zbyt prymitywnie, z polska) z miejsca określił prof. Marka mianem „małego nacjonalisty”. Szczególnie oburzająca jest wypowiedź posła Marka Asta z PiS, który optuje za to, by profesorowi za tę ekspertyzę ...

nie zapłacić

– widać on płaci tylko za te ekspertyzy, które mu w smak. A przecież nie na tym polega rola ekspertyzy! Żałosna jest wypowiedź posła Tuskopartii, Marka Plury. Zarzuca on naukowcowi naruszenie godności posłów

i dobrego imienia Sejmu RP. Tymczasem jest zgoła przeciwnie: Marek ratuje godność

posłów

nie mających nic wspólnego z tym antypolskim projektem. Dlaczego antypolskim? O tym mówi przecież niedwuznacznie poseł Platformy Prura (cyt. za onet.pl):

Status języka

regionalnego pozwoliłby na finansowanie z budżetu państwa

- 1) lekcji języka śląskiego w takiej odmianie, w jakiej jest używany w okolicy zamieszkania uczniów
- 2) na wszystkich szczeblach edukacji
- 3) Wsparcie finansowe zyskałyby także organizacje krzewiące kulturę śląskiej mowy, zaś obywatele w drodze referendum
- 4) mogliby stanowić o używaniu tego języka w nazwach miejscowych.

* * *

- 1) czyli cały naród buduje Szlezjen
- 2) czyli x dialektów
- 3) z uniwersytetem włącznie
- 4) a dalsze referenda?

Daremna ofiara Powstań Śląskich?

<http://www.youtube.com/watch?v=r2bhHCuuJCI>

Post scriptum: my tu o pedałach i Madzi, a tu Polskę rozbieirają! Najpierw Szlezjen, a potem...? Mamy w Polsce dziesiątki dialektów i dziesiątki chytrych macherów, którzy (chętnie za obce pieniądze, jak RAS) zaangażują się na rzecz rozbiórów. Kto da więcej?

A kto da im po łapach? Polacy? Śmiechu warte. Adieu, grande nation!

Post scriptum 2: dawno już pisałem o tym, że prędzej Szlezjen uzyska autonomię, mimo że narodu szlezjerów nie ma, niż Wileńszczyzna, zamieszkała w większości przez Polaków, którzy narodem są.

Jan Bogatko, 6 marca

Z okazji najważniejszych dla Chrześcijan Świąt, jakimi jest Wielkanoc – Zmartwychwstanie Pana Jezusa – wszystkim „Niepoprawnym” i Ich rodzinom, zdrowia i sił w walce z przeciwnościami losu. Oby Zmartwychwstały Chrystus dał nam nadzieję na lepsze jutro, tak jak mówią słowa pieśni „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”.

Życzy redakcja